

Relacja, której nie ma

Ilekroć zabieram się za napisanie relacji z Allalinhorna (wchodziliśmy na niego w styczniu 2017), to mój syn wpada w histeryczny płacz. Rozstraja mnie to nieco, ale też widzę w tym jakiś znak i pisanie odkładam. Ogólnie zastanawiałem się ostatnio, dlaczego z niektórych wyjazdów relacje nie powstały. Nie ma w tym żadnej logiki, tzn. nie widzę wpływu, czy wyjazd był udany (zresztą nie ma w mojej opinii czegoś takiego jak wyjazd „nieudany”), czy był długi, czy krótki, czy góra była zdobyta, czy nie. No może poza jednym czynnikiem, bo nie napisałem nic o tych akcjach, podczas których zdarzały się epizody, których nie umiałem do tej pory wytłumaczyć. Klasyczny przykład, to ten, kiedy w 2010 roku na Gerlachu poszedłem jak ćma w ogień i samotnie zacząłem się wspinać lodospadem. Innym razem, kiedy w 2011 roku w trudnych warunkach śniegowych szukałem góry Zawrat, nie wiedząc, że to jest przełęcz. Po raz trzeci, po latach, zdarzyło się to właśnie na Allalinhornie w 2017, kiedy znów byłem bliski wpakowania się w sytuację skrajnie niebezpieczną. Zdecydowanie do tych trzech dorzuciłbym jeszcze zadanie z gwiazdką, czyli rosyjska ruletka w Alpach Oetztałskich w 2012 i zapraszanie lawin do tańca. Myślę, że we wszystkich tych przypadkach byłem o krok od nieszczęścia i niewytłumaczalna siła zadbała, bym wrócił na dół. Tłumaczenie wszystkiego „szczęściem” byłoby szczytem arogancji.

Czemu teraz o tym piszę? Nie dlatego, że teraz rozumiem, co tam się stało, ale dlatego, że już wiem, że nie muszę tego rozumieć. I w odpowiednim momencie wrzucę krótki tekst o drugim wejściu na Gerlach, który się skończył, zanim się zaczął i o wejściu na niemal sam szczyt Zawratu, który był przełęczą. A już na pewno, jak tylko Michaś pozwoli, to napiszę o szarym lodzie i skalnym stopniu podczas zimowego wejścia na „najłatwiejszy” czterotysięcznik, z którym mentalnie przegrałem, zanim jeszcze ze śpiwora wyszedłem.

Na dziś załączam jedynie 1-minutową migawkę:

Allalinhorn – 4027 m – droga przez Hohlaubgrat – zimą